Nr. 3. Kraków, w marcu 1905 r. Rok VI.



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

W setną jedenastą rocznicę.

Lat sto jedenaście upłynie w dniu 24-go marca r. b. od chwili, gdy nieśmiertelnej pamięci Tadeusz Kościuszko przysiągł narodowi polskiemu na Rynku krakowskim, że powiedzie go w bój o niepodległość Polski, o równość i wolność wszystkich jej mieszkańców i w boju tym zwycięży, lub zginie.

Było to, jak powiedzieliśmy, sto jedenaście lat temu, a więc w roku 1794, dnia 24 marca, w poniedziałek.

Datę tę każdy Polak powinien dobrze pamiętać, bo to dzień urodzin wielkiego usiłowania, nieustannego boju, który trwa do dni naszych, trwać musi i trwać nie przestanie, dopóki orzeł biały nie rozwinie wolnych skrzydeł z murów niepodległej Warszawy. Pierwej bój ten nie ustanie, bo prawdę wygłosił wielki poeta, mówiąc:

„Walka o wolność gdy się raz zaczyna,
Z krwią ojca spada dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięstwem!...

Szczęścia niema bez wolności — lecz wolność ma to znów do siebie, że używający jej naród tak długo tylko równocześnie wolnym i potężnym być może, jak długo jest mężnym i cnotliwym, a na czele jego stoją mężowie, zasadzający swą chlubę i chwałę na uszczęśliwieniu ojczyzny i narodu, a nie na dążeniu do zaspokojenia osobistych swych interesów i namiętności.

To też Polska była wielką i potężną Rzecząpospolitą, dopóki na jej czele stali tacy mężowie; od czasu jednak, gdy dzięki nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności, na tronie polskim zasiadło z kolei dwóch Niemców: August II, a po nim syn jego, August III, źle się w ojczyźnie naszej dziać zaczęło.

Książęta ci, panujący w swoim kraju dziedzicznym, Saksonii, samowładnie, nie mogli się pogodzić z polskim obyczajem, według którego król był tylko pierwszym obywatelem i najwyższym urzędnikiem Rzeczypospolitej. Elektor saski, jak się zwał naówczas władca Saksonii, był panem samowładnym swoich Saksończyków, mógł z nimi robić, co mu się podobało i nakładać na nich, jakie chciał podatki, ile razy trzeba mu było pieniędzy. Tymczasem w Polsce król na równi

z innymi obywatelami musiał prawa słuchać i do niego się stosować, a o nakładaniu podatków przez króla i mowy być nie mogło.

Augustowi II-mu zawsze trzeba było pieniędzy na rozpustę, Augustowi III-mu na zabawy, przysmaki i wygodne życie — Saksonia mała i niewiele można z niej było wycisnąć; gniewało więc to naszych Sasów ogromnie, że z Polską nie mogli tak poczynać, jak ze Saksonią i przemyśliwali wciąż nad tem, jakby Rzeczpospolitą na niemiecką przykroić modę. W tym celu rozpajali szlachtę, podchlebiali jej i demoralizowali ją, a równocześnie przymierzyli się z nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej, gotowi będąc podzielić się z nimi jej krajami, byle chociaż w części Polski panować samowładnie. Nie osiągnęli zamierzonego celu, ale Rzeczypospolitej wyrządzili ogromną krzywdę, bo zepsuli rządzącą warstwę narodu. Szlachta, która w ówczesnych czasach o tyle miała racyę bytu, o ile była stanem rycerskim, broniącym Rzeczypospolitej, zmieniła się pod wpływem Sasów w rolników, myślących tylko o wyzyskaniu swoich majątków i wyciągnięciu z nich jak największych dochodów. Wskutek tego Polska osłabła ku radości graniczących z nią Prus i Moskwy, które będąc despotycznie rządzonemi państwami, z nienawiścią patrzyły na wolność Polski, a z chciwością na żyzne jej ziemie i nieomieszkały korzystać z osłabienia Rzeczypospolitej.

Widząc to osłabienie, zaczęły intrygować, możnych przekupywać i jednać sobie stronników. Wkrótce doszło do tego, że ambasador moskiewski, t. j. urzędnik załatwiający sprawy Moskwy przy dworze polskim w Warszawie, zaczął rządzić i gospodarować w Polsce, jakby w kraju od cara zależnym. Oburzyło to szlachtę polską, korzystając więc ze zwyczaju, dozwalającego jej wystąpić z orężem w ręku, gdyby widziała, że król i rząd wolność uciskają, lub bronić jej nie umieją, zawiązała szlachta związek, czyli tak zwaną k o n f e d e r a c y ę w miasteczku B a r z e na Podolu dnia 29 lutego 1768 roku i rozpoczęła bój z Moskwą w obronie wolności i Rzeczypospolitej.

Konfederaci barscy walczyli przez lat cztery, jak bohaterowie, lecz gdy król Stanisław August, zamiast połączyć się z nimi, trzymał z Moskwą, ulegli przemocy, a Moskwa i Prusy, przypuściwszy do spółki Austryę, zabrały w r. 1773 po kawałku Rzeczypospolitej; Moskwa wschodnio-północną część Litwy, Prusy województwa, położone na zachodzie nad morzem Bałtyckiem, a Austrya południowo-zachodnie, ciągnące się wzdłuż gór Karpackich, czyli dzisiejszą Galicyę.

Niecny ten czyn przemocy, zwany pierwszym rozbiorem Polski, nie złamał przecież narodu naszego; owszem, pobudził go do zastanowienia się nad rozpaczliwem położeniem Rzeczypospolitej i szukania środków ratunku. W pozostałej części Rzeczypospolitej, która i tak dużem jeszcze była mocarstwem, zaczęto zakładać pilnie szkoły, szerzyć oświatę, rozwijać handel i przemysł, oraz dążyć do ulepszenia praw Rzeczypospolitej. Wkrótce znaczna część narodu przyszła do przekonania, że sama szlachta, że sam stan rycerski, nie zdoła nadal obronić Polski przeciw jej wrogom, że do obrony tej powołać należy mieszczan i lud rolny, że jednak wkładając na te warstwy narodu ten obowiązek, trzeba im dać nowe prawa i obdarzyć je większą wolnością.

Sejm, zwołany do Warszawy w r. 1788, przyszedł także do takiego przekonania i po trzechletnich naradach uchwalił dnia 3 maja 1791 roku słynną Konstytucyę, która wszystkim Polski mieszkańcom otwierała drogę do zupełnej wolności.

Rządząca wówczas Moskalami caryca Katarzyna II przeraziła się niemało tą uchwałą i zbrojeniem się Rzeczypospolitej, rozumiała bowiem, że gdy Polska stanie się silną, wpływ moskiewski straci w niej całkiem znaczenie i prędzej lub później trzeba będzie oddać zrabowane w roku 1773 kraje. Niestety, i w Polsce samej znaleźli się ludzie, którzy przerazili się tak samo, jak i Katarzyna. Ludźmi tymi było kilku magnatów, posiadających rozległe dobra w południowo-wschodniej Polsce, na Ukrainie. W dobrach tych mieli licznych poddanych, którzy odrabiali im pańszczyznę; wiedzieli zaś dobrze, że jeżeli utrzyma się Konstytucya 3-go maja, to lud wnet wolnym się stanie i pańszczyzna przepadnie. Samoluby te, przenoszący osobisty swój interes nad szczęście i wolność narodu, połączyły się z carycą Katarzyną przeciw własnej ojczyźnie. Przy ich pomocy, pomimo męstwa armii polskiej, która mężnie w obronie wolności walczyła, potrafiła caryca moskiewska przyciągnąć na swoją stronę króla polskiego Stanisława Augusta i zawładnąć Rzecząpospolitą.

Nastały teraz strasznie ciężkie czasy. Zdrajcy wespół z Moskwą zapanowali w Pol-

sce, a caryca Katarzyna, porozumiawszy się z królem pruskim, który zdradliwie zerwał niedawno zawarte przymierze z Rzecząpospolitą, zagarnęła wschodnią część Polski, gdy równocześnie ten wiarołomny monarcha opanował Wielkopolskę niemal po samą Warszawę.

Wówczas naród polski postanowił sam myśleć o sobie i powoławszy na naczelnika swego Tadeusza Kościuszkę, rozpoczął bój z Moskwą i Prusami.

Kościuszko, wykształcony w warszawskiej szkole rycerskiej, zwanej szkołą kadetów, walczył za wolność w Ameryce, gdzie zdobył sławę i został generałem, a powróciwszy do ojczyzny, okrył się chwałą w wojnie przeciw Moskwie w r. 1792. Po połączeniu się króla ze zdrajcami musiał wyjechać za granicę — teraz posłuszny woli narodu powrócił, by stanąć na jego czele.

W Krakowie stały dwa bataliony piechoty polskiej, stali jednak także i Moskale, a mianowicie pół batalionu piechoty, szwadron dragonów, 30 kozaków i dwa działa. Moskali tych mieli nasi przed przybyciem Kościuszki z miasta wypędzić, lecz nie potrzebowali tego czynić, gdyż dowódca moskiewski, zawiadomiony o zbliżaniu się brygady kawaleryi narodowej generała Madalińskiego, przeciw niej wyruszył, a Kościuszko, przybywszy do Krakowa d. 23 marca, zastał go już wolnym od Moskali.

Pogodnie zeszło słońce dnia 24 marca 1794 roku nad starożytnym Krakowem. Od świtu tłumy ludu zalegały obszerny rynek krakowski. Tłumy postrojone i uroczyste, jakby w dzień świąteczny. Było to bowiem święto nie kościelne wprawdzie, ale narodowe: święto wolności!

Przed starym ratuszem, z którego dziś tylko wieża pozostała, stały bataliony polskie pod sznur wyciągnięte. Od ulicy Szewskiej, otoczony gronem mieszczan, włościan i oficerów, nadszedł Kościuszko.

Na widok jego zagrzmiał okrzyk gromki, potężny, radosny, z tysiąca piersi płynący. W i w a t w o l n o ś ć! W i w a t K o ś c i u s z k o! grzmiało wzdłuż szeregu bagnetów. W i w a t w o l n o ś ć! W i w a t K o ś c i u s z k o! odpowiadano z pod ratusza, ten sam okrzyk rozbrzmiewał z balkonów, okien, dymników, z dachów nawet.

Tymczasem Kościuszko zatrzymał się przed frontem batalionów, odkrył głowę i dobył pałasza — na to hasło umilkły okrzyki i niema, uroczysta zaległa cisza — a wśród tej ciszy, którą zaledwo bicie serc zgromadzonych tysiąców przerywało, rozlegał się głos Kościuszki, przysięgającego wierność narodowej sprawie.

„Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania p o w s z e c h n e j w o l n o ś c i używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męko Syna Jego!“.

Umilkły słowa przysięgi — i znów zerwała się burza radosnych okrzyków, która odprowadziła świeżo poślubionego Polsce bohatera aż do wnętrza starożytnego ratusza. Tu, w sali radnej odczytano pismo, nazwane: „A k t p o w s t a n i a o b y w a t e l ó w, m i e s z k a ń c ó w w o j e w ó d z t w a k r a k o w s k i e g o“, w którem ogłoszono Tadeusza Kościuszkę Najwyższym Naczelnikiem wojska polskiego i Polski całej, z władzą nieograniczoną, t. j. taką, jakiej nikt w Polsce, nawet sam król nie miał; wypowiedziano, dlaczego Polska powstaje; wykazano krzywdy, jakich naród polski doznał od Prus i Moskwy i oświadczono, że odtąd niema już żadnych różnic między synami Polski, lecz wszyscy Polacy są równi i wolni.

Po tej uroczystości Kościuszko zabrał się bez zwłoki do formowania wojska polskiego i zawrzała walka pomiędzy narodem polskim a najezdnikami.

Już dnia 4 kwietnia zajaśniały R a c ł a w i c e, gdzie świeżo uzbrojeni wieśniacy krakowscy, z kosami w rękach, poszli na armaty moskiewskie i zdobywszy je, okryli się nieśmiertelną chwałą; zajaśniały dnie 17-go i 18-go kwietnia, w których lud warszawski pod wodzą mężnego szewca, J a n a K i l i ń s k i e g o, wyparł ze stolicy Polski 8 tysięcy Moskali.

W ślad Warszawy poszło Wilno. Tu w dniu 23 kwietnia mężny żołnierz, pułkownik J a k ó b J a s i ń s k i, na czele garstki polskich żołnierzy załogę moskiewską rozbroił, a komendanta jej, Arseniewa, wziął do niewoli we własnym jego łóżku.

W pierwszych dniach lipca 1794 r. stanął Najwyższy Naczelnik z armią narodową pod Warszawą i bronił jej przeciw 46 tysiącom Prusaków i Moskali. Bronił jej po mistrzowsku, przy pomocy ludu warszawskiego przez dwa bez mała miesiące, aż dnia 6 września król pruski Fryderyk Wilhelm, widząc, że

nic nie wskóra, musiał ze wstydem odstąpić od oblężenia i uciekać z pod Warszawy.

Wysłany za nim z oddziałem wojska polskiego generał Jan Henryk Dąbrowski gromił zwycięsko Prusaków wśród niw wielkopolskich i zdało się, że sprawa wolności odniosła już tryumf zupełny, gdy nieszczęśliwa bitwa pod Maciejowicami, stoczona dnia 10-go października, zadała jej cios śmiertelny.

W bitwie tej walczyło 7 tysięcy naszych przeciw 16-tu tysiącom Moskali. Najwyższy Naczelnik padł śmiertelnie raniony, a obok niego sześć tysięcy naszych żołnierzy.

Kościuszkę nieprzytomnego i na wpół umarłego znaleźli Moskale na pobojowisku i zabrali do niewoli. Gdy go nie stało, wszystkim ręce opadły, a mocarstwa ościenne po raz trzeci rozszarpały Rzeczpospolitą.

Kościuszko wiernie dotrzymał przysięgi, złożonej na krakowskim rynku, bo raniony śmiertelnie w maciejowickiej bitwie, stał się jakby umarłym i nie mógł już wpływać na losy narodu. Wskutek tego nie zdołał obronić niepodległości Polski, a przecież ją ocalił. Ocalił od hańby i zwątpienia, opromieniając upadek Rzeczypospolitej blaskiem bohaterstwa i poświęcenia, rozpoczynając bój o wolność i niepodległość, który trwa do dni naszych i wskazując narodowi drogę, po jakiej ma kroczyć, by zrzucić jarzmo wrogów. Drogą tą: to miłość cnoty i wolności, to wzajemna miłość i braterstwo wszystkich Polaków bez różnicy stanu, majątku, narzecza i wyznania, to świadomość i wiara, że kto chce wolnej Polski, ten pragnie szczęścia ludu, a kto jej się zapiera, ten jest wrogiem ludu i zdrajcą narodu.

Dziś, gdy potęga carska kruszy się i rozpada, tembardziej powinniśmy pamiętać o wskazanej przez Kościuszkę drodze, tem wierniej nią kroczyć, gdyż już może niedługo będziemy mogli powtórzyć zwrotkę Kościuszkowskiego marsza, która w roku 1794 grzmiała wśród ryku dział z warszawskich okopów:

Pókiż damy się ciemiężyć?
Dalej bracia do oręża!
Kto chce umrzeć, lub zwyciężyć,
Ten zawsze prawie zwycięża.

Krakowiak.

Szumią polskie lasy, szumią polskie pola,
Dręczy nam Ojczyznę wiekowa niedola.
A tam het daleko, pod osłoną kiru,
Kości jej obrońców w odludziu Sybiru.
Płynie stara Wisła, srebrzy się wspaniale,
Nad nią zamek królów sterczy tuż na skale;
W nim wobec narodu, pośród grobów cieni,
Po trudach życiowych we śnie pogrążeni,
Spoczywają długie lata, długie, długie wieki —
Ale się przebudzą — i w czas niedaleki:
Gdy nam Zygmunt, głosem trąby archanioła
Zadzwoni pobudkę, a zewnątrz dokoła
Zawtórzą mu wszystkie — wszystkie nasze [dzwony,
Głos grzmiący roznosząc, na wsze polskie [strony;
I szarpnie się orzeł, orzeł śnieżnopióry,
Porozrywa więzy, wzbije się do góry.
Otworzą się groby, i wodze powstaną,
I kontusz się zmiesza z czamarą, z sukmaną.
I w szyku bojowym staną wszystkie stany,
Na czele Kościuszko, Puławscy, Rejtany,
Kilińskich, Głowackich zastęp jak drzew [w borze,
Runie jak huragan, zaszumi jak morze.
I w tył się nie cofnie, jak i Wisły wody,
A głosem piorunów huknie pieśń swobody.
A płynąc wciąż falą o sile orkanu,
Pozmiata Moskali niby kłosy z łanu.
Podąży gromadnie na cmentarz Sybiru,
A zdjąwszy zasłonę wiekowego kiru,
Zbierze kości i broń z rozległej pustyni,
I w Polsce ułoży w złocistej świątyni.

Ferdynand Kuraś.

CZARY.

(Dokończenie).

— A wy skąd wiecie!

— Ot, dopytywałem się ludzi. Jak raz ujrzałem was w kościele, zarazeście mi do serca przypadli i dopytywałem się i mówili ludzie, że niema lepszej i szczęśliwszej od was we wsi całej.

— Cóż, kiedy samiutka na świecie!

— Nie sami wy Jagna moja, nie sami!

— A bo co?

— Bo dla was w duszy mojej kochania moc, bo wszystkie piosnki moje skrzypki dla was wygrywają, bo życie za was oddam rad, byleście mi trochę serca dali! Z rodzinnej wioski jam uciekł, tak mnie coś gnało niby do przeznaczenia mego, a skrzypki moje, tak jęczały, tak płakały z tęsknoty za nieznanem bóstwem i zaprowadził mnie aż tutaj płacz ich, do tej wioski, do chaty waszej... O bądźcie mi miłosierną Jagno, nie odpędzajcie jak psa, pozwólcie sobie zagrać czasem i w oczy spojrzeć...

Broniła się Jagna tym słowom, ale chłopak tak błagał, a tak gorącym obejmował ją wzrokiem, że krew uderzyła jej do głowy i nie mogła ruszyć się z miejsca. I zbladłemi usty szeptała jeno: „Czary... czary!“

A na drugi dzień i trzeci chętnie słuchała słów jego, bo w jej duszy stęsknionej zagościła miłość. I powoli obcy przybysz wyparł z jej serca biednego Jontka... Ale kumoszki wzięły dziewczynę na języki.

— Jagna, a maszże też rozum, dyć Franek ci obcy, ni brat ci on, ni swat, we wsi swojej jakąś tam dziewczynę, pono Hankę ostawił, a ta aż tu się za nim przywlekła.

— Co mówicie! — odrzekła Jagna strwożona.

— A prawdę mówię, odpędził spłakane dziewczę, jeszcze ci niedola tamtej na sumienie padnie.

Markotno się Jagnie zrobiło, ale nie wierzyła.

— To nie prawda, co mówicie.

— Sumiennie — a sam podobnoć podpić sobie lubi.

— To i co? kiedy on mój.

— I robić mu się nie chce, ino jak ten ptak niebieski żyje.

— To będę ja robić za niego.

— Miejże Boga w sercu dziewczyno, toć biedak, ani piędzi ziemi niema!

— Za to ja mam dość, za dwoje.

Odchodziły kumoszki gniewne, Jagna nie mogła oprzeć się urokowi, jaki Franek rzucił na nią, ale jakoś z weselem nie było jej spieszno. Oczarował ją i tyle.

— Będziesz pracował koło ziemi, Franek? — pytała, ocierając fartuchem pot z czoła, bo ją okopywanie grządek zmęczyło.

A on, żeby się od odpowiedzi wyłgać, chwycił za skrzypki i jak zaczął grać, tak czar na nowo działać zaczął i pomyślała:

— Nie dośpię, nie dojem, ręce sobie urobię, niech mi ino gra.

Więc grał. A kiedy coś w sercu jej błysło, coś jak tęsknota za Jontkiem, mawiała:

— Wiesz co Franek, może ja nie dla ciebie, ani ty dla mnie, może ty we wsi swej znajdziesz se lepszą, swoją a nie obcą... bo i prawda, obcą ci ja.

A on jął ręce jej całować i zawodzić. — Na to mi przyszło, żeś przygarnęła, a teraz jak psa wypędzasz? więc chyba przyjdzie do rzeki się rzucić, albo na drzewie w lasku powiesić, bo dla mnie bez ciebie życie niemiłe.

Przelękła się Jagna i zawołała:

— Franek, co gadasz, obraza to Boska o zabijaniu się mówić, a tożby cię święta ziemia nie przyjęła! i przeżegnała go, aby złe odpędzić.

— To mi nie mów, żebym poszedł! — odparł ze smutkiem.

I przebłagana przez chłopca, już o ślubie myśleć poczęła, bo jej to granie jego ze wszystkiem zawróciło głowę.

Byli raz w sadzie oboje. On na skrzypkach grał, ona zgięta we dwoje, sierpem żęła trawę. Przyszła sąsiadka z drugiej chaty, o płot się oparła i rzekła:

— Oj, fałszywieś ty nastroił skrzypki swoje, Franku!

Chłopak gniewnie spojrzał na kumoszkę.

— A o rychłem weselisku myślicie? — ciągnęła dalej.

— A ino! — nie podnosząc głowy odrzekła Jagna.

— A tam Hanka nieboraczka łzy leje za Frankiem.

Wyprostowała się Jagna, spojrzała chłopcu w oczy, a ściskając w dłoni sierp, zapytała:

— Prawda to?

— Prawda.

— Więc rzuciłeś w niedoli dziewczynę?

— Rzuciłem, bo nie z własnej woli moją ona była.

Szarpnęła się Jagna z gniewem.

— Po twojej woli, czy nie, a mnie co do tego?

— Wysłuchaj mnie, Jagna, ulituj się mojej niedoli.

— A ty litość miałeś dla niej?

— Alboż mieli oni choć trochę litości nademną, gdy głodnego do chaty wciągli, jeść dali i kąt w komorze ofiarowali. Myślałem, że to miłosierdzie, a oni Hankę za mnie wydać chcieli.

— Będziesz po weselach na skrzypkach grywał — mawiali — to i zarobek będzie, a dziewczynę bierz, bo ci rada okrutnie.

Takie to było ich miłosierdzie. A dziewka jak się przyczepiła, tak i odczepić się nie chciała, chociaż nie myślałem o niej nigdy. Hej! nie głupim ja dla zarobku grywać, nie głupim sprzedawać duszy mojej piosenki, one wszystkie dla ciebie, Jagno moja, nie miałem ja nigdy serca dla żadnej dziewczyny, boś ty mi się przyśniła, niby czarodziejka.

— Żal mi cię, biedny Franku, ale wróć do tamtej.

— Nie pójdę! — zawołał hardo. — Nie wrócę! co mi Hanka! tyś mi panią, tyś królową!

— Abo ty myślisz Franek, że po łzach tamtej pójdę do ołtarza? Byłabym poszła za ciebie, choćby mi wieś cała broniła, chociażbyś biedniejszym był od żebraka, byłabym poszła, bo mi nie o bogactwo chodzi, ale o to, żeś mi prawdy nie mówił, że Boga nie masz w sercu.

Chciał uspokoić rozgniewaną dziewczynę, ale mu się zbliżyć nie pozwoliła, a gdy gwałtem pociągnął ją ku sobie, błysnęła mu sierpem ponad głową.

Zaklął i odszedł.

A ona sierp rzuciła w trawę, dłońmi ścisnęła głowę i zawołała wielkim głosem:

— Odczyńcie mi uroki gosposiu, bo mi serce pęka!

I wzięła ją za rękę sąsiadka i pod Bożą Mękę zaprowadziła.

— Tu szukaj odczynienia uroków.

Uklękła Jagna, dłońmi objęła stopy krzyża i długo płakała.

— O Jezu! wróć mi Jontka! to moje pierwsze i ostatnie kochanie!

Spokojna powstała, a twarz fartuchem obtarłszy, poczęła iść ku domowi. A oto Franek zastąpił jej drogę i raz jeszcze oczarować chciał ukochaną dziewczynę i skrzypki chwycił. Ale czar minął, bo w sercu odżyła miłość i tęsknota za Jontkiem.

Stanęła, śmiało spojrzała grajkowi w oczy i powtórzyła słowa sąsiadki:

— Oj, fałszywieś ty nastroił skrzypki swoje! Bóg mnie oświecił i złe odwrócił, nie będą na mnie ciążyły łzy tamtej. Jeśli masz sumienie, wróć do Hanki, ja do ziemi mojej ukochanej.

Poszła, a on stał, ściskając z gniewem skrzypki, co dar swój straciły. I zawrócił...

A ptaszęta nie znając ludzkiej niedoli, ćwierkały wesoło, a Jagnie się zdawało, że wołają za nią: wróci... wróci... Jontek miły!

Iri...

O chorobach skórnych.

Napisał Dr. W. Ż.

(Ciąg dalszy).

Zamiast tego wszystkiego najlepiej w przypadku podejrzanym na świerzb udać się do lekarza po poradę, który chorego dokładnie zbada i oceni, czy to jest rzeczywiście świerzb i zapisze skuteczne lekarstwo, które zabija świerzbowce, nie szkodząc skórze ani człowiekowi zupełnie. Zazwyczaj już po jednorazowem użyciu lekarstwa ustępuje przykre swędzenie, a w kilku dniach człowiek pozbywa się świerzbu. Naturalnie, że gdy chory już od dłuższego czasu dotknięty jest chorobą — wyleczenie nie następuje tak prędko — gdyż po zabiciu świerzbowców trzeba leczyć czas dłuższy poranioną od drapania paznogciami skórę.

Nie na samem leczeniu polega zniszczenie świerzbu, tak, aby choroba ta w rodzinie nie powracała.

W bieliźnie chorych i w posłaniu znajduje się mnóstwo tych żyjątek, dlatego równocześnie z leczeniem trzeba zmienić bieliznę i pościel na świeżą — brudną wygotować we wrzątku, ubranie wytrzepać i wyczyścić.

Leczyć się powinni równocześnie wszyscy w rodzinie, gdyż później leczony może wyleczonych powtórnie zarazić.

Prócz świerzbu są inne choroby, które powodują swędzenie.

Wspomnieliśmy już w jednym z poprzednich artykułów, że dużo ludzi nie znosi — tak chętnie na wsi przy skaleczeniach używanej arniki, które to lekarstwo powoduje zapalenie skóry, połączone z przykrem swędzeniem. Nietylko arnika, ale i inne rzeczy, używane bądźto jako lek, bądź w życiu codziennem, mogą spowodować zapalenie skóry — tak samo praczki, stykając się z mydłem i sodą podczas prania, dostają zapalenia na skórze rąk, które bardzo trudno się leczy, bo chora taka musi zaprzestać na dłuższy czas prania, z którego się utrzymuje. Na czas wstrzymania się od pracy choroba ustępuje, a potem gdy napowrót taka praczka pierze, znów tej choroby dostaje. I tutaj nie należy szukać rady u znachorów, którzy chorobę ostremi lekarstwami pogarszają, ale zwrócić się należy co rychlej do lekarza, a nie czekać aż choroba obejmie większą połowę skóry albo całe nawet ciało.

Do swędzących chorób należy jeszcze **pokrzywka**, która najczęściej występuje u dzieci,

ale nierzadko i u nas starszych. Na skórze zupełnie przedtem zdrowej — występują nagle bąble, jak po oparzeniu pokrzywą, które sprawiają pieczenie i przykre swędzenie. Po kilku lub kilkunastu godzinach choroba znika, aby potem albo nie powrócić wcale, albo znowu nagle i niespodziewanie wystąpić. Jeśli występuje często i trwa długo, to chory taki cierpi bardzo.

Różne są przyczyny tej choroby. U niektórych ludzi wywołują tę chorobę zjedzone poziomki; taki powinien strzedz się jedzenia poziomek, bo nieraz już po zjedzeniu jednej pokrzywka występuje. Dalej choroby żołądka i jelit, a u kobiet choroby części rodnych mogą pokrzywkę spowodować. Tam gdzie ona powraca często, należy się zwrócić co rychlej do lekarza, aby dokładnie organizm chorego zbadał i starał się usunąć tę chorobę, która pokrzywkę powoduje.

Jest jeszcze mnóstwo rozmaitych chorób skórnych, nieraz bardzo ciężkich, bo zagrażających nietylko zdrowiu, ale i życiu chorego. Wdawać się jednak w opisy tych wszystkich chorób w piśmie przeznaczonem dla ludu wiejskiego, byłoby bez korzyści, bo dobre leczenie ich zależy od dobrego rozpoznania. Rozpoznać dobrze chorobę, a co zatem idzie ze skutkiem ją leczyć może tylko lekarz, który się tego uczył i ciągle uczy z doświadczenia. We wszystkich więc przypadkach choroby skórnej jakiejkolwiek, gdy ona sama od siebie wkrótce nie ustępuje — należy zwrócić się do lekarza.

Jeżeli pismo moje skłoni lud nasz wiejski do odpowiedniego leczenia się w przypadkach chorób skórnych, to już zrobi bardzo wiele, bo ochroni niejednego z naszych włościan od utraty zdrowia i wyzysku pieniężnego ze strony znachorów i cudotwórców, których u nas dużo się znajduje.

Po co kobietom gazety?

Jakby kobiety na to brały gazetę do ręki, ażeby czytać z nich wróżby o snach, rządki numerów na loteryę, albo uczyć się czarów i przekleństw, toby każdy mógł słusznie powiedzieć: gazety im nie potrzeba.

Ale, jeśli kobieta, czytając gazetę, nauczy się z niej czegoś pożytecznego i dobrego, wtedy należy powiedzieć: Czytajcie dużo, ile możecie, ile macie czasu na to wolnego.

Gazeta jest to niby książka, ale nie taka książka, którą się odrazu całą dostanie do ręki, tylko przychodzi ona po arkuszu co miesiąc, czy co tydzień, czy co dzień. Gdy książkę dobrą czyta kto dziś we wsi, to się ludzie nie dziwią i nie wołają; po co?... A czemuż hałasić i dziwić się, gdy dobrą gazetę kobieta do ręki weźmie?

O czem gazetka prawi?

Opowie nieco o dawnych czasach, opisze jakieś zdarzenie z historyi naszego kraju, przyniesie jakąś piosenkę serdeczną, poradzi, jak z dziećmi się obchodzić, jak w gospodarstwie co ulepszyć, a więc czy to wszystko niepotrzebne?...

Oświata potrzebna tak samo kobietom, jak i mężczyznom, tak samo, jak potrzebne słońce do życia i woda do picia. A że to dawniej bywało, iż kobiety nie czytały gazet, nic dziwnego, boć przecie bardzo dawno i królowie czytać nie umieli. Teraz, kiedy czytanie nie dziwne, a kobiety pragną się oświecać, więc niech nikt nie pyta, po co im gazety.

Jadwiga S.

NA ŻEBRY.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi — otwieram, to uboga — dziś piątek, dzień, w którym zawsze biedni chodzą od domu do domu, by litościwych ludzi o jałmużnę prosić.

— Imościnko, dajcie też co biednej, głodnej staruszce.

Żal człowiekowi, bo biedno, chłodno ubrana, a tu mróz; co mogę, to daję.

Za chwilę drugie pukanie, już silniejsze, pewniejsze — i słyszę bolejący głos:

— Imościnko, opatrzcie biedną.

— Ależ Rudolfowo (takie bowiem imiona nadają rodzice swym dzieciom na ziemi polskiej urodzonym) — mówię, poznając w żebraczce matkę mojej praczki — to wy także na żebry? cóż to, chleba niema w domu? czy co? Przecież Leopoldowa, wasza córka dość zarabia, by matce na jedzenie starczyło. Muszę ja jej powiedzieć, że jest złą córką, niewdzięczną. Jak też można matkę staruszkę

na takie zimno posyłać i to jeszcze za żebraniną.

— O, Imościnko — trochę zagniewana mówi staruszka — dyć moja córka nie jest złą, ona matkę i opierze i obsłuży koło niej, to nie mogę powiedzieć. Rychtelnie ja Imoścince mówię, ino, że tu u nas już taki zwyczaj, kandy są matki stare niemocne, a ojcowie ślepi, kulawi i do pracy nie silni, to i idą na żebry, co piątek, adyć i od Kowalichy, takiej bogacki, matka ino co tu u Imościnki byli. To ta i to coś córce, jeźli do strzechy zaniosę chleba kruchego, a i piniądzów nam potrzebno. Chleb będzie la świń, a piniądze la domu.

— No, moiściewi, już ja wam tam nic nie dam, bo sam Pan Bóg by się gniewał, że ubogim takim daję, co to nie potrzebują, tylko ze zwyczaju żebrzą. Idźcie z Bogiem, a poślijcie mi tu córkę po południu.

Za Rudolfową przyszła jeszcze cała gromada żebracza, przed którą ja drzwi zamkłam, lecz po to tylko, by słyszeć długie dzwonienie i natarczywe dobijanie się do mieszkania.

Już zła byłam, bo czy to są biedne? prawdziwie biedne, które potrzebują tego chleba kawałka dla siebie, które każdy darowany strzęp ubrania łzami zroszą i szczerze gorąco dziękują Bogu, iż w nędzy zesłał im rękę litościwą.

Nie, to są biedni żebrzący ze zwyczaju. Znam tę Kowalichę, ją stać na jedwabne suknie, a córki w kapeluszach zestrojone chodzą, babka za to staruszka, drżąca ze zimna, w piątek za jałmużną prosi. I czy się to godzi? Czy dzieci powinny tak postępować?

Niechże pamiętają, że jeźli zwyczaj ten dalej trwać będzie, to i ich dzieci na żebry wyślą i one prosić o chleb będą, odbierając go prawdziwie biednym. Jak raz się kto sparzy, tak, jak ja, to wcale później dawać nie będzie, bo czy to rozróżni prawdziwie potrzebującego od żebraka ze zwyczaju?

Niechże te słowa przeczytają córki, które nie pomyślały, że wysyłanie matek na żebry jest hańbą dla dzieci, daje im bowiem świadectwo złych, niewdzięcznych dzieci, które nie pamiętają na przykazania Boskie: Czcij matkę twoją i ojca twego, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło.

Tak się dzieje tu u nas, w żywiecczyźnie.

Wieści ze świata.

Pierwszy wiec w Warszawie.

Niezwykły to wypadek dla mieszkańców Warszawy, iż otrzymali pozwolenie na urządzenie wiecu; zawdzięczyć to należy tym rozruchom, tej krwi przelanej niewinnie, która na ulicach Petersburga popłynęła.

Kurator szkół warszawskich, p. Szwarc, przychylając się do zwołania wiecu, powiedział, iż i on uczestniczyć w nim będzie, ale jeżeli na nim będzie przynajmniej 15 osób. Tymczasem na wiec zeszło się blizko tysiąc osób, bo największa sala w Warszawie była wypełniona po brzegi, a jeszcze setki osób zostało na ulicy, bo się już zmieścić nie mogli. Narady odbyły się bardzo spokojnie, poważnie a przyjemnie, bo bez nadzoru policyi. Przemawiało kilku obywateli, a wszyscy zgodnie w tym duchu, ażeby język polski był językiem wykładowym w szkole. Najwięcej podobała się mowa poety Andrzeja Niemojewskiego, który domagał się szkoły polskiej, ducha polskiego w szkole i samowładnego wpływu społeczeństwa polskiego na szkołę. Jeden z profesorów gimnazyalnych, Moskal, udowadniał chytrze w swej mowie, że to właśnie jest dobrodziejstwem dla Polaków, że w języku rosyjskim nauki są wykładane, bo w dalszem życiu otrzymując jakąś posadę, umieją już dobrze nim władać. Jaki skutek odniosą te obrady, uchwalone na wiecu, to jeszcze niewiadomo, bo oprócz szkół czysto rosyjskich, gdzie tylko sami Rosyanie uczęszczają, wszystkie inne szkoły zamknięte, nie tylko męskie, ale i żeńskie, bo dziewczęta łączą się z chłopcami i do szkoły nie uczęszczają.

Wypadki w Warszawie.

Kurator szkolny w Warszawie, p. Szwarc, wniósł podanie o dymisyę, niewiadomo z jakiej przyczyny Czy że za łagodnie wypowiadał swe zdania na wiecu, czy obudziło się w nim poczucie ludzkości i uznał za słuszne żądania Polaków, a któryś z młodszych jego kolegów nie omieszkał z tego skorzystać i zdradził go? A może rząd sam nakazał mu to uczynić, uwzględniając jego zasługi? Dyrektorzy z niższych szkół gimnazyalnych krzątają się pilnie, prawie urządzają polowania na studentów, chcąc ich napowrót wciągnąć do szkoły, próbują nawet przepłacać biednych, ubogich rodziców, żeby tylko posyłali dzieci

do szkoły, ale starsi uczniowie chodzą gromadnie po ulicach i nie puszczają do szkoły, z tego powodu przychodzi do zamieszek między studentami a policyą i kozakami. Studentów w wielkiej liczbie aresztują, ale na drugi dzień puszczają ich na wolność. Studenci, ażeby się nierozpróżniaczać, uczą się sami w domach, a także wynajmują się do prac rękodzielniczych po kilka godzin dziennie. Studenci z prowincyi przeważnie porozjeżdżali się do domów.

Strejki kolejarzy.

Prawie w całem państwie rosyjskiem nietylko personal urzędniczy, ale i cała służba kolejowa zastrejkowała; przez kilka dni nie było żadnej komunikacyi między Galicyą a Warszawą, masy towarów nagromadziło się w magazynach kolejowych w Warszawie, bo nie na wszystkich liniach równocześnie strejkują. Z Królestwem ruch już przywrócony, ale nadchodzą ciągle świeże wiadomości o strejkach kolejowych w różnych stronach państwa rosyjskiego.

Rzeż w Radomiu.

Strejkujący robotnicy zebrali się z początkiem lutego za miastem i rozpoczęli rokowania z fakrykantami, którzy zgodzili się wreszcie na podniesienie dziennej płacy o 10—20 kop., a nadto przyobiecali przyczynić się za nimi, żeby do szkoły język polski był wprowadzony. Ostateczną odpowiedź robotnicy otrzymać mieli w urzędzie gubernialnym Wskutek tego wyruszyli robotnicy w największym ładzie i porządku ku miastu. Tutaj w jednej z ulic zagrodziła im drogę rota żołnierzy — była chwila okropna, cały tłum robotników postępował w ponurym spokoju. Wtem wpadł oficer i wydał komendę, żeby wojsko rozstąpiło się na boki. Robotnicy przeszli środkiem ulicy, gdy wyszli na plac przed gubernię, osaczono ich w koło. Wojsko, stojące przed gubernią, dało salwę, pomimo, że robotnicy zachowywali się spokojnie. 20 robotników zabito, 28 raniono, między tymi były także kobiety i dzieci.

Zamach na życie W. Ks. Sergjusza.

Rząd rosyjski nie tylko Polaków gnębi, pastwiąc się nad nimi, jako nad swymi niewolnikami, ale również źle się obchodzi z ludem rosyjskim, a szczególniej z robotnikami, wyzyskując ich pracę, prześladując na każdym kroku.

Rozporządzenia te uciskające lud, wychodziły głównie od W. ks. Sergjusza, stryja obecnego cara, i gubernatora petersburskiego, Trepowa. Trzymając się razem, W. ks. w Moskwie, a Trepow w Petersburgu, gnębili ludzi.

Dowódcy tajnej agitacyi, którzy namowami swemi podtrzymują te rozruchy w Królestwie i Rosyi, wydali wyrok śmierci na kilka wybitniejszych osobistości, które swymi podszeptami wpływają na cara, iżby żadnych reform nie przeprowadzał, lecz siłą zgniótł tych, którzy się o swe prawa upominają. Wyrok śmierci posłano także W. ks. Sergjuszowi. Od tego czasu W. ks. Sergjusz nie wyjeżdżał nigdy sam z domu, ale zawsze w towarzystwie swej żony, bardzo dobrej, miłosiernej i pobożnej kobiety, którą naród rosyjski w Moskwie uwielbiał. Ostrożność ta nie podobała się agitatorom, bo nie chcieli pozbawiać życia tak dobrej pani, więc napisali list do niej, prosząc i zaklinając, żeby z mężem nie jeździła.

I stało się, gdy pierwszy raz W. ks. Sergjusz sam wyjechał, pomimo, że zaraz za jego powozem jechali agenci policyjni, którzy uważali, aby się kto do powozu księcia nie zbliżył. Ledwo kilkadziesiąt kroków od pałacu odjechał, gdy jakieś sanie wyprzedziły powóz księcia, sanie stanęły, wysiadł z nich młody człowiek, wziął bombę z sani i rzucił ją pod nadjeżdżający powóz księcia. Wybuch bomby był tak głośny, jak wystrzał z armaty. Przechodnie zobaczyli wysoki słup żółtego dymu, a w nim drobne szczątki z powozu. Ciało W. księcia rozerwane w kawałki pozbierali oficerowie i do pałacu odnieśli.

Zabójca nie zdołał umknąć, pochwycili go wnet agenci policyjni. Przyznał się, iż on to zrobił z rozkazu wyższego, ale nic więcej nie powiedział. Jest to młodzieniec 20-letni, ale niewiadomo jakiej narodowości, bo nie chce powiedzieć nawet swego nazwiska. Wyraził tylko życzenie, żeby mógł widzieć W. księżnę. Gdy dobra ta pani dowiedziała się o tem, poszła do niego do kaźni więziennej. Gdy ją zobaczył młodzian, upadł jej do nóg i zaczął prosić, żeby mu przebaczyła. Księżna zapytała go, dlaczego to zrobił, odpowiedział, iż musiał z rozkazu wyższego. Pocem księżna uklękła i modliła się, a powstawszy, tak powiedziała: „Chrystus kazał przebaczać swoim nieprzyjaciołom, więc i ja tobie przebaczam". Młodzieniec padł jej powtórnie do nóg i ucałował rąbek jej sukni, mówiąc: „Teraz mogę już umrzeć, gdy mi księżna przebaczyła!"

Rewolucya na Kaukazie.

Także na całym Kaukazie wybuchło powstanie. Główne narody: Armeńczycy, Czerkiesi i Gruzianie sprzymierzyli się z sobą i razem uderzyli na Rosyan. Wojsko rosyjskie ma być rozbite, a częściowo także rozbrojone. Jeden z gubernatorów znajduje się podobno w niewoli u powstańców.

Powstańcy rozłożyli się obozem pod większemi miastami, komunikacye telegraficzne i kolejowe zupełnie przerwane.

Ruch strejkowy w Rosyi.

Nie tylko w Królestwie Polskiem, ale we wszystkich większych miastach w Rosyi rozruchy nie ustają. Niektórzy fabrykanci zgadzają się po części na żądania robotników, podwyższają im płacę, umniejszają o godzinę dzienną pracę i robotnicy zaczynają już chodzić do pracy, gdy znów dostają rozkaz od swych przywódców, żeby dalej prowadzili bezrobocie, więc rzucają pracę i błąkają się bezczynnie po ulicach.

Jedna z fabryk w Petersburgu, do której robotnicy chcieli wejść, ażeby ją zniszczyć, obstawiona była wojskiem. Robotnicy obrzucili wojsko gradem kamieni. Kobiety ściągały z koni kozaków, bijąc ich pięściami i kalecząc kamieniami. W innych różnych miastach rosyjskich rozruchy trwają ciągle i krew bezbronnych zalewa ulice miasta. O. Gapon, ten pop, który w pierwszym dniu rozruchów w Petersburgu z krzyżem w ręku postępował w pierwszym szeregu robotników, będąc już teraz ukryty za granicą, wzywa ich, żeby dalej trwali w ruchu rewolucyjnym i ażeby ustanowili tymczasowy rząd rewolucyjny.

Z Mandżuryi.

Po parotygodniowym odpoczynku, w celu pogrzebania poległych, co wobec dwudziestokilko-stopniowych mrozów nie było łatwem, stoczono już kilka nowych walk, kilka tysięcy ludzi z obydwóch stron utraciło życie, ale zwycięstwa ciągle odnoszą Japończycy. Generał Grippenberg telegrafował do cara, skarżąc się na Kuropatkina, iż przez niego został pozbawiony czci i sławy żołnierskiej. Przed jedną z bitew, gdy już mieli iść do ataku, przemówił do swej armii w słowach gorących, zachęcając ją do męstwa, zakończając tem przemówienie, żeby go zabili, gdyby chciał się cofnąć. Tymczasem przyszedł rozkaz od Kuropatkina, żeby się cofnęli. Żołnierze moi, mówi Grippenberg, nie zabili mnie, ale w oczach ich pozbawiony jestem honoru i powagi wodza, dlatego składam dowództwo.

Jeńcy w łachmanach.

Jeden z dzienników donosi z Mukdenu, że przybyło tam 200 jeńców japońskich, zabranych w bitwie pod Sandepu. Jeńcy ci ubrani są w podarte na strzępy mundury rosyjskie lub chińskie, obuwie mają zupełnie rozpadające się i są wynędzniali i wygłodzeni w najwyższym stopniu. A ponieważ wiadomo wszystkim, że wojsko japońskie ma porządną i ciepłą odzież, stąd się przekonujemy, że Moskale odarli ich z ciepłej odzieży, a dali im własne lub chińskie łachmany, nie bacząc na to, że Japończycy tak szlachetnie obchodzą się z jeńcami rosyjskimi.

Okrucieństwa w koloniach *).

Z kolonii europejskich w Afryce nadchodzą od czasu do czasu straszne wieści. Pod hasłem cywilizacyi dokonywa się tam nie tylko najhaniebniejszy wyzysk krajowców, ale nadto „cywilizatorzy“ europejscy obchodzą się z ludnością murzyńską w sposób, godny oprawców średniowiecznych. Znane są procesy, jakie rząd niemiecki wytacza swoim urzędnikom za okrucieństwa, popełniane na murzynach.

Obecnie z francuskich kolonii donoszą o krwawych czynach, niegodnych ludzi cywilizowanych, a nawet dzicy ludzie nie mogliby się zdobyć na większe okrucieństwa.

Z powodu jakiegoś święta narodowego, urzędnicy kopalń francuskich urządzili sobie zabawę, a po wspaniałej uczcie, przy której wypito dużo wina, postanowili się bawić. Jeden z uczestników podał projekt wypróbowania dynamitu na murzynie. Okrutnicy chwycili młodego murzyna, zawlekli na dziedziniec wewnętrzny, związali powrozami i powalili na ziemię, położyli na nim nabój dynamitu i zapalili. Rozległ się straszny huk: krwawe szczątki ciała, kości, wnętrzności, rozleciały się dokoła. W kilka dni później to samo grono urzędników wymyśliło sobie inną rozrywkę. Wciągnęli w zasadzkę jednego murzyna, obcięli mu głowę i kazali z niej ugotować rosół, poczem zaprosili przyjaciół i krewnych murzyna na ten przysmak. Gdy murzyni już spożyli potrawę, straszna, ugotowana

*) Kolonie są to kraje w Afryce lub w Azyi, zajęte przez Europejczyków i w straszny sposób wyzyskiwane, zwłaszcza w celach handlowych.

głowa pokazała się na dnie misy. Urzędnicy bawili się wyśmienicie, patrząc na przerażone twarze nieszczęśliwych murzynów. Barbarzyńcy odpokutują za swą swawolę, bo wszyscy siedzą już w więzieniu.

Kobiety w Japonii.

Jak wszędzie, tak i w Japonii, zamążpójście jest najważniejszą chwilą w życiu kobiety. W Japonii jest o tyle gorzej, że naród to, chociaż bardzo szlachetny i prawy, nie wyznaje takiej religii, którąby nowożeńców przysięgą wiązała.

W Japonii, gdy młodzieniec dojdzie do lat 20, rodzice uważają za święty obowiązek ożenić go jak najprędzej i jak najkorzystniej. Dziewczęta wydają już w 16-tym roku i jest wielką obraza powiedzieć komu, że ma w domu 20-letnią córkę. Łącząc tak wcześnie swe dzieci, rodzice nie mają wcale na względzie ich szczęścia, chodzi im wyłącznie o utrzymanie rodzin, o zabezpieczenie licznego potomstwa.

Dla Japonki zamążpójście jest tylko spełnieniem obowiązku, ofiarą złożoną na ołtarzu ojczyzny i ludzkości. Małżeństwa kojarzą się zwykle za pośrednictwem jakiegoś przyjaciela domu, tak jak u nas swata. Zwyczaj pozwala tylko na jedno widzenie się oblubieńcowi ze sobą. Gdy układy zawarto między rodzicami, wtenczas pan młody udaje się ze swatem do domu narzeczonej. Przyszły teść przyjmuje gości, o ile go stać, najokazalej.

Gdy przed gośćmi stoją już puste filiżanki, gospodarz proponuje wypicie jeszcze herbaty. „Owszem, bardzo chętnie" — odpowiadają. To chwila umówiona. Gospodarz klaszcze w dłonie, a zamiast służącej wchodzi do stancyi córka z tacą, na której stoją filiżanki z herbatą. Stawia filiżanki na stolikach i w tej chwili wychodzi, nic mówiąc ani słowa. I to jest cała znajomość państwa młodych.

Po tem pierwszem widzeniu wyznacza się dzień ślubu. Ale rzecz to nie łatwa, trzeba bowiem uzyskać pierwej zgodę wszystkich krewnych aż do czwartej linii.

Jednocześnie w domu panny młodej przygotowuje się wyprawa. Składa się ona przeważnie ze strojów, a ponieważ moda w Japonii prawie się nie zmienia, więc szyje się taki zapas wszystkiego, żeby na całą młodość wystarczyło. Do wyprawy należą też dzieła sztuki, złotem tkane makaty, wazony porcelanowe, które zdobić mają przyszłe gniazdko młodej pary.

Nareszcie nastał dzień wesela. Od rana stroją pannę młodą w białe szaty godowe, włosy jej trefią, układają w niezliczoną ilość subtelnych loczków. Pan młody tymczasem nie próżnuje, musi dom swój przygotować na przyjęcie gości; białym papierem okleja ściany, salon suto ubiera kwiatami, a że w Japonii każdy kwiat ma swoje znaczenie symboliczne, trzeba przeto bardzo uważać w ich rozmieszczeniu. Białe kwiaty dla kobiet, pąsowe mężczyznom się należą. Gdy już wszystko gotowe, wieczorem, przy blasku różnobarwnych latarek, panna młoda udaje się w towarzystwie rodziców i gości do domu oblubieńca. Po przywitaniu ceremonialnem pannie młodej podają kubek „sake" czyli wódki ryżowej; ona, umaczawszy usta, wręcza go przyszłemu mężowi, który go do dna wychyla. To powtarza się trzy razy i oznacza, że młodzi gotowi są dzielić z sobą słodycz i gorycz życia. Na tem kończy się ceremonia zaślubin.

Potem panna młoda na chwilę wychodzi do drugiego pokoju, ażeby zdjąć z siebie białą suknię i wziąć inną kolorową. Rozpoczyna się uczta, podają najprzód rosół ze ślimaków, sałatę z kwiatów zaprawioną octem i cukrem, galaretę z roślin morskich i inne smakołyki. Goście, uraczywszy się do woli, bo podań było ze dwadzieścia, po cichu się rozchodzą; zbliża się chwila upragnionego sam na sam...

A nazajutrz rozpoczyna się życie szare, pełne drobnych dolegliwości, bez promyka szczęścia czasami, bo młoda żona jest zarówno najpokorniejszą sługą. Po siedmiu dniach młoda mężatka udaje się odwiedzić rodziców; i jeżeli nie może pogodzić się z nowym swym losem, prawo zwyczajowe pozwala jej nie wracać więcej do domu męża.

Dział gospodarczy.

Rozkład pracy domowej i gospodarczej na marzec.

W marcu kończy się już zimowy odpoczynek gospodyń, trzeba więc na dobre pomyśleć o wiośnie i o nadchodzących świętach. Marynować szynki, robić kiełbasy, salcesony i t. p. Kiełbasy są najlepsze, jeżeli są na wpół wędzone, a potem suszone na wietrze mar-

cowym. Wogóle wszelkie wędliny, powieszone w miejscu chłodnem i przewiewnem, nabierają od samego przewiewu powietrza marcowego wybornego smaku. W marcu należy bez względu na to, czy to na wsi, czy w mieście urządzić większe pranie, przeprać nawet i takie rzeczy, które mało bywają używane, lub też długo już leżą bez użytku i poddać je działaniu marcowego słońca, które to ma własność bielenia bielizny. Płótno, zrobione w zimowym czasie, najlepiej jest bielić na marcowym słońcu.

Przy końcu tego miesiąca, kiedy już niema obawy zimna, można otwierać okna, które na zimę były zabezpieczone i oczyścić mieszkanie z zimowego brudu, nie odkładając tej pracy na święta, które to w tym roku dopiero przy końcu kwietnia przypadają. W tym miesiącu trzeba już pierwsze kury nasadzać na jaja, a wylęgłe z nich marcówki są najlepsze do chowu. W piwnicy warzywa przechowane przez zimę pilnie przeglądać i oczyszczać z zepsutych; u ziemniaków wszystkie wyrostki, jakieby się zaczęły pokazywać, pilnie obrywać, w ciepłe i pogodne dnie piwnice przewietrzać w godzinach południowych.

W ogrodzie i w polu zależy wszystko od stanu pogody, to jest od wcześniejszej, lub późniejszej wiosny Jak tylko ziemia cokolwiek rozmarznie, to skopać grunt pod okopowizny (jeżeli nie był skopany w jesieni), aby się jak najprędzej ogrzał w promieniach słońca. Podczas odwilży przygotować ziemię na potrzeby ogrodowe, a jak tylko ziemia będzie na tyle ogrzana, że można już w niej robić, to nie ociągać się, tylko siać: pietruszkę, marchew, brukiew, koper, mak, anyż, buraki, szpinak, kapustę i t. p. Przy końcu tego miesiąca, jeżeli tylko pogoda sprzyja, to można na grzędzie obróconej ku słońcu i ochronionej od północnego wiatru domem, lub parkanem, siać groch cukrowy i fasolę, trzeba je jednak sadzić cokolwiek głębiej w ziemi i nakryć chrustem, aby w razie przymrozków nie pomarzły i aby wróble nie wydzióbały. Jeżeli czas sprzyja, to przy końcu marca, lub też najdalej w pierwszych dniach kwietnia, na grzędach, wystawionych na południe, a osłoniętych od wiatrów północnych, wysadzić rośliny, przeznaczone na wysadki nasienne, ale od nocnych przymrozków trzeba je nakryciem chronić. Kto w lutym drzew nie obciął, niech teraz obcina drzewa owocowe, krzaki agrestu i porzeczek, zanim puszczą młode pędy. Kto ma świeże drzewka, może je jeszcze teraz sadzić, należy także okopać ziemię w promieniu korony drzewa, celem utrzymania potrzebnej dla drzewa wilgoci na wiosnę. W tym miesiącu można już oczyścić łąki z mchu i chwastów, bronując je lekkiemi bronami, należy też oczyścić pola koniczynne i ziemię pod uprawę zbóż. Można też rozpocząć siew wyki nasiennej i kosmatej, rzepaku letniego, buraków pastewnych, owsa, żyta itd.

Przysłowia na marzec.

Na świętego Kazimierza dzień z nocą się zmierza. A czasem i czajka przybieża.

Czterdziestu męczenników jakich, czterdzieści dni takich. Na świętego Grzegorza płyną rzeki do morza.

Zasiewanie ogrodów.

Każda skrzętna gospodyni, chcąc mieć wczesne jarzyny, powinna pilnować, jak tylko skorupa ziemna rozmarznie, uprawić swoje ogrody, ulepszając ziemię nawozem od drobiu, który do ogrodów jest bardzo przydatny.

Kto chce mieć wczesne ziemniaki, niech je zasadza w dzień św. Franciszki, 9 marca. Rozsada zasiewa się 1) na św. Grzegorza, 12 marca, 2) na św. Józefa, 19 marca. Marchew, pietruszkę, buraki i mak zasiewać należy jak najwcześniej, gdyż te jarzyny schodzą dopiero w 6 tygodni po zasianiu. Dlatego też dobre gospodynie zasiewają te jarzyny w późnej jesieni, żeby mieć wcześniej na wiosnę.

Gdy wiosna spóźniona, a jarzyny nie były posiane w jesieni, trzeba na kilka dni przed zasiewem zmieszać w jakim naczyniu nasiona z mokrą ziemią, potrzymać w stancyi, a gdy rozpęcznieją, nim zaczną kiełkować, zasiać na grządkach, a w kilka dni zejdą.

Groch cukrowy, fasolę, kukurudzę i słonecznik na kilka dni przed sadzeniem namoczyć w wodzie, a prędzej zejdą. Ogórki moczą się w mleku słodkiem, rzodkiewkę, kto chce mieć dużą, niech nie zasiewa, lecz sadzi, robiąc niegłębokie dołki patykiem i w każdy dołek 1 ziarno wpuścić i zagrzebać.

Przed każdym domkiem na wsi, a szczególnie tam, gdzie są młode dziewczęta, powinno być przynajmniej dwie grządki, na kwiaty i zioła. Jest to nietylko dla ozdoby i wygody potrzebne, ale można z tego mieć i korzyść, jeżeli się mieszka w bliskości jakiegoś miasta, to każdy kwiatek chętnie tam kupią, a zioła można spieniężyć w aptekach.

Lewkonie, astry, cenie, goździki, ostrószkę, balsaminy i t. p. można zasiewać w skrzy-

neczkach lub wazonikach wcześniej, postawić na oknie w chłodnem, lecz słonecznem miejscu, żeby nie bujały, a potem przesadzić na grządkę. Jeżeli od razu sieje się ich na grządkach, to potem trzeba koniecznie przesadzać, bo tak, jak sałata, lub inna jakaś jarzyna nieprzesadzona się nie uda, tak samo i kwiaty. Tylko rezedę można nieprzesadzać. Kto chce się swoich nasion dochować, niechaj uważa przy przesadzaniu, n. p. lewkonia pełna nasienia niema, ale gdy obok niej rośnie pusta, więc pyłek z lewkonii udziela się pustej i stąd powstaje pełna lewkonia. Otóż przesadzając, trzeba uważać, sadzonki lewkonii pełnej mają listki szersze i końce zaokrąglone, przy pustej węższe i spiczastsze. Chcąc mieć z nich nasienie, posadzić pełną w bliskości pustej, a gdy już szypułki na kwiat wyrosną, przywiązać ich razem do jednego patyczka, a z tak złączonej lewkonii nasienie będzie pełne. Z innemi kwiatami w ten sam sposób trzeba postępować, bo kwiaty pełne nigdy nasienia nie mają.

Z wyższych roślin bardzo ładnie wyglądają koło domu rosnące malwy, słoneczniki, tureckie proso, ślaz, floksy, georginie i t. d. Z ziół powinno się sadzić przy każdym domu szałwię, melizę, miętę pieprzową, rumianek, rozmaryn, Boże drzewko, rumianek rzymski, ślaz apteczny, rumbarbarum i wiele innych. Każde z tych ziół przydać się może do domowej apteczki, która na wsi w każdym domu znajdować się powinna, by w razie jakiegoś wypadku było się czem ratować.

ROZMAITOŚCI.

Strejk uczniów. Donoszą z Lublina, że z gimnazyum tamtejszego wydalono 130 uczniów Polaków. Z niewykluczonych 500, prawie nikt nie uczęszcza do do szkoły, pomimo wezwań dyrekcyi.

Z Łodzi. Strejk robotników skończony, wielkie fabryki znowu są w ruchu. Przed gmachem gimnazyalnym przyszło do starcia z policyą. Jeden z policyantów został silnie zraniony. Uczniowie i uczenice wnieśli żądanie zaprowadzenia języka polskiego w szkołach, poczem wyszli z gmachu szkolnego. Także komunikacya kolejowa przywróconą została.

Gapon do cara. Przywódca robotników petersburgskich pop Gapon, wystosował następujący list do cara. „Pełne zaufania do Ciebie, jako ojca Twego ludu, poszły do Cię Twoje dzieci. Niewinna krew robotników, ich żon i dzieci, rozdzieliła Cię na zawsze od tego ludu. Nie powstrzymasz rozszalałego ruchu ludowego połowicznemi środkami, ani nawet przyrzeczeniem zwołania soboru ziemskiego. Bomby i dynamit, zbiorowy i indywidualny terroryzm, czekają Ciebie i Twoje pokolenie i wszystkich morderców praw ludowych. Ja tak mówię, i tak będzie. Krew popłynie jak może nigdy przedtem. Stań raz przed trybunałem ludu rosyjskiego, miej litość nad Twojemi dziećmi i Twoimi krajami, Ty, który innym ludom ofiarowałeś pokój“.

Drugi list Gapona, pisany do robotników, tak opiewa: „Nie należy wierzyć żadnym obietnicom carskim, natomiast należy wciągnąć do spisku żołnierzy i kozaków, bo i oni są synami ludu. Wiedzcie, że zarządzono wszystko, abyście na czas mieli broń, dynamit i bomby. Powstańcie wszyscy jak jeden mąż, na całej przestrzeni wielkiego państwa rosyjskiego gdy Komitet zemsty, obrony i wolności da hasło. Cały plan wypracuje Komitet. Celem powstania jest: zniszczenie autokracyi, wypuszczenie wszystkich więźniów politycznych, uwolnienie z więzów ucisku całego ludu i zwołanie konstytucyjnego zgromadzenia, przy udziale przedstawicieli robotników. Jestem z Wami duszą całą i całą moją krwią.

Z Mandżuryi. Dowiadujemy się z dzienników, iż walki w Mandżuryi trwają teraz ciągle prawie bez przerwy. Walka artyleryi rozciąga się na 120 kilometrów. Moskalom czasem się tylko uda odeprzeć gdzieś Japończyków, ale przeważnie biorą ciągle po skórze. Generał Liniewicz poniósł klęskę ogromną. Koło Tinheczeg zdobyli Japończycy 100 000 sztuk nabojów, trzy działa maszynowe i 200 sztuk broni.

Chunchuzi w zupełności zniszczyli most kolejowy między Mukdenem a Tienlinem, mający 800 metrów długości, co dla wojsk rosyjskich jest wielką stratą.

Bunt żołnierzy. Berliński dziennik donosi z Warszawy, iż w Połtawie, komendant 71 pułku podczas parady wygłosił do żołnierzy mowę, w której powiedział: „Bracia! Niedługo przyjdzie nam wyruszyć przeciw Japończykom!“ Na to cały pułk zawołał: „Nie chcemy iść na wojnę!“ Jakie były następstwa tego buntu, niewiadomo

Skradziony likier. Z Wiednia donoszą. Tutejsza firma Seidel, wysłała przed pół rokiem do głównej kwatery generała Kuropatkina w Mandżuryi 8.000 butelek specyalnego likieru pod nazwą „Mandaryn“ dla żołnierzy rosyjskich. Teraz na listowne zapytanie otrzymała odpowiedź, że przesyłka ta nie nadeszła na miejsce przeznaczenia. Okazało się, że rozkradli ją w drodze.

Dezerterzy rosyjscy na Bukowinie. Jak donoszą z Czerniowiec, rząd krajowy na Bukowinie wydał do wszystkich starostw rozporządzenie, że rosyjscy dezerterzy mają w ciągu 6 tygodni kraj opuścić. Wedle urzędowych wykazów jest ich tam przeszło 3.000, pomiędzy którymi panuje jaglica (egipskie zapalenie oczów). Głównym powodem wydalenia jest to, że dezerterzy chwytają się z konieczności pracy za każdą cenę, przez co obniżyli i tak już niskie zarobki miejscowych robotników.

Zbrojenia rosyjskie. Minister wojny w Petersburgu zarządził wysłanie na plac boju 120.000 sztuk karabinów, 80 milionów nabojów, 30.000 sztuk szrapneli i kilka bateryi. Z tego wnioskują, że wojna będzie jeszcze dalej prowadzoną.

Kolej syberyjska. Na kolei syberyjskiej odkryto nowe wielkie oszustwa. Urzędnicy kolejowi przyjmowali prywatne przesyłki i wysyłali je jako rządowe, pobierając od wagonu ile się dało, od 50 do 400 rubli.

Strejki. Donoszą z Petersburga, że 80 000 robotników wystosowało memoryał do Trepowa z szeregiem żądań, domagając się ich wypełnienia przed 4 marca. W przeciwnym razie przyłączą się do strejkujących, którzy dalej bezrobocie prowadzą.

W Warszawie w wielu mniejszych fabrykach strejk rozpoczął się na nowo. Miasto jest niespokojne, bardzo wiele osób wyjeżdża. Liczne patrole znowu przeciągają ulicami. Wielu subjektów, pomocników szewskich i służących prywatnych rozpoczęło strejk.

Miliony z dymem. Ministerstwo skarbu rządu austryackiego wykazało, ile ma skarb korzyści z tytoniu i cygar. Ogólny surowy dochód z monopolu tytoniowego za rok 1903 wynosi dokładnie 121,170.214 Kor., o 5 milionów więcej niż w r. 1902. Z ogłoszonej statystyki okazuje się, że konsumcya cygar się zmniejsza, a za to konsumcya papierosów nadzwyczaj wzrosła. Ciągle wszyscy narzekają na ubóstwo, na brak pieniędzy w naszym kraju. Niech nałogowi palacze powstrzymają się od palenia, a kilkadziesiąt milionów rocznie, w kraju naszym zostanie.

POWINSZOWANIE

(dla dzieci na imieniny ojca, albo dziadzia, albo stryja).

I.

Nie smuć się Tatusiu,
Że ja jeszcze mały,
Tobie nie pomagam
Bawię się dzień cały,
Nie smuć się Tatusiu,
Że czasem co zbroję,
Jak ja będę starszy
Rzucę figle swoje,
A teraz Ci życzę,
Byś nie znał kłopotu,
Aby żyto dało
100 korcy omłotu,
Aby koniczynka
Wyższa jak ja była,
Aby się pszeniczka
Śliczna zarodziła...
Ażeby podatku
Nie było wielkiego,
To życzę Tatusiu
W dniu Imienia Twego.

II.

Szedłem ja przez las
W trawie, aż po pas,
A trawa szumiała
I wciąż mię pytała,
Co dla Ojca masz?

Szedłem ja przez łąki,
Wkoło brzęczą bąki,
Pszczółki miodek znoszą,
Weźże, weź, mnie proszę,
Tatusiowi dasz!

Szedłem ja miedzami,
Pomiędzy zbożami,
One się kłaniają,
O Tatka pytają...
Czyli szczęście masz?

A ja rzeknę na to
Szczęśliwy mój Tato,
Bo pobożny i cnotliwy,
Pracowity a uczciwy...
I najlepszy z nas.

Ja dam Ojcu życie moje,
By zdjąć z czoła troski — znoje —
Ja wytężę wszystkie siły,
By mu dzieci chwałą były...
Będę prosił o to Boga,
By szła gładko życia droga...
By pociechy zaznał wiele,
Tego życzę dzisiaj śmiele.

Jadwiga z Łobzowa.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Jaglica. Co się tyczy jaglicy czyli tak zwanego zapalenia egipskiego oczu, to choroba ta odznacza się obrzękiem i zaczerwienieniem powiek, z tego powodu chory wygląda jak zaspany. Jeśli się tylko ma podejrzenie, że to zapalenie egipskie, a zwłaszcza jeśli więcej ludzi w sąsiedztwie choruje na oczy, należy natychmiast zwrócić się do lekarza, choroba to bowiem bardzo ciężka i zapóźno, a nadto nieodpowiednio leczona doprowadzić może do ślepoty. Wszelkich środków domowych, jak przemywanie oczu mlekiem lub moczem bydlęcym, bo i to się przydarza w niektórych okolicach, należy unikać i na własną rękę nie leczyć, bo można choremu zaszkodzić. (Czy zapalenie jest zwyczajne tak zwane kataralne, które się też przydarza — czy też epipskie, może ocenić tylko lekarz po zbadaniu chorych oczu).

Tężec karku. Co się tyczy tak zwanego tężca karku, to jest to objaw choroby, spowodowany zapaleniem opon mózgowych tak zwanem nagminnem, to znaczy, że choroba ta udzielić się i przenieść może na stykających się z chorym. Obecnie panuje ona na Śląsku tak, że nawet niektóre szkoły zamknięto, przed 12 i 13 laty przydarzały się liczne przypadki tej choroby i u nas. Choroba bardzo ciężka i niebezpieczna dla chorego zaczyna się nagle dreszczem i wysoką gorączką, często bardzo wymiotami, bardzo silnymi bólami i stężeniem mięśni karku, przez co głowa wygląda jakby wsadzona w ramiona i ku tyłowi przegięta. Nierzadko chorzy umierają już w kilku dniach, inni po kilku nawet miesiącach, nierzadko następstwem jej jest ślepota, lub głuchota, porażenie mięśni itp.

Do chorego natychmiast przywołać lekarza a gdyby natychmiast przybyć nie mógł, można bez obawy zaszkodzenia choremu a nawet z pewnym pożytkiem postawić na karku kilka pijawek — dać okład lodowy na głowę i jeśli chory nie wymiotuje — dać mu należy na przeczyszczenie, najlepiej dwie stołowe łyżki olejku rycynowego.

Ból głowy. Co się tyczy bolów głowy, to są one najczęściej objawem jakiejś innej choroby tkwiącej w ustroju człowieka. I tak wiadomo, że niedokrewność (blednica) powoduje bóle głowy, dalej nadużywanie tytoniu i gorących trunków, choroby nerek, zaburzenia w trawieniu, zaparcie stolca itd. Nerwowy ból głowy czyli tak zwana migrena odznacza się tem, że występuje peryodycznie w równych odstępach czasu, n. p. raz w tygodniu, i ogranicza się zwykle do połowy głowy. Ból trwa zazwyczaj od rana, a towarzyszy mu ogólne osłabienie, nudności a nierzadko i wymioty. Na drugi dzień po takim napadzie chory czuje się bardzo osłabionym. Co się tyczy leczenia bólów głowy, to najlepiej zwrócić się do lekarza, który po dokładnem zbadaniu przyczyny zapisze odpowiednie lekarstwa, a nie leczyć się samemu, gdyż to zazwyczaj nie pomaga. Tak samo nie należy używać proszków na ból głowy, polecanych i sprzedawanych przez niesumiennych aptekarzy, a w szczególności antypiryny, gdyż jeśli człowiek chory jest na serce, o czem nieraz nawet nie wie, może przypłacić nawet życiem — takie przypadki już się przydarzały. Przy migrenie dobrze robią u niektórych chorych okłady bardzo gorące, często zmieniane na połowę głowy zajętej cierpieniem. Przy wielkiem osłabieniu i nudnościach położyć się do łóżka, pokój zaciemnić i napić się gorącej herbaty lub czarnej kawy. Domownicy powinni się zachować bardzo spokojnie — gdyż wszelkie hałasy drażnią bardzo chorego.

Makuchy i odpadki browarniane, olejne i t. p.

Karmiąc bydło makuchami, lub odpadkami browarnianymi, trzeba uważać na to, że makuchy jest to pasza silna, zawierająca w sobie wiele części pokarmowych i działających podniecająco. Szczególnie należy na to uważać, gdy się ma krowy na ocieleniu. Paszę taką należy nabywać w miejscach pewnych, nie u żydów, gdzie dostaje się prawie zawsze już nadpsute. Mając makuchy zdrowe i pewne, nie należy dawać więcej, jak tylko oznaczoną ilość, gdyż wpływają one na smak mleka i masła. I tak:

Makuch rzepakowych nie daje się więcej, jak 1 kg. dziennie; większa ilość nadaje masłu niemiły smak i robi masło miękkie.

Makuchy konopne (siemienne) tylko $^1/_2$ kg. dziennie, działają one upajająco i również nadają masłu niemiły smak.

Makuchy lniane $1^1/_2$ kg. dziennie, w większej ilości skarmiane pogarszają smak masłu i robią je twardem.

Odpadki z oleju podnoszą również ilość mleka i tłuszczu.

Odpadki browarniane, jak kiełki słodowe, daje się dziennie na jedną sztukę $1^1/_2$ kg., powiększają one znacznie ilość mleka i tłuszczu w mleku.

Karmiąc kiełkami słodowymi, ma się masło zbite i bardzo smaczne.

Słodziny świeże można w większej ilości skarmiać, np. po 20—25 kg. dziennie na jedną sztukę; lepiej jednak jest nie dawać ich zbyt wiele, gdyż mleko po świeżych słodzinach jest wodniste i mało słodkie, prędko kwaśnieje, ciężko się wyrabia na masło i mało masła daje. Cielętom takie mleko szkodzi, dostają one po niem biegunki. Lepiej jest zatem dawać słodziny suche, bo chociaż nie

podnoszą one ilości mleka, to mleko takie dla cieląt jest lepsze. Suchych słodzin daje się tylko 1—2 kg. na sztukę dziennie.

Podagra u kur, indyków, pantarek i gołębi, nie napadająca zaś nigdy kaczek i gęsi. Choroba ta pochodzi z przemrożenia i z wilgotnego zimna, nogi i uda drobiu puchną i lekko sinieją, nogi stają się sztywne, tak dalece, że drób stanąć nie może i jest zmuszony ciągle siedzieć. Taki drób należy trzymać w ciepłem, suchem i czystem miejscu, a choroba ustąpi; wtedy trzeba wyleczone sztuki utuczyć i oddać pod nóż, gdyż choroba ta łatwo powraca.

Kaszel pojawia się również często na wiosnę u kur lepszych odmian i u indyków, ptactwo nim dotknięte ma oddech ciężki, kaszle chrypliwie, prawie że się dusi. Chcąc takiego ptaka wyleczyć, leje mu się w dziób zaledwie letni odwar z piołunu, goryczki, lub korzenia tataraku, a prócz tego można też od czasu do czasu dać trochę odwaru z korzenia ślazowego. Po wyleczeniu jednak trzymać go nie warto, tylko utuczyć i na zabicie przeznaczyć.

Jeżeli w okolicy panuje zaraza na drób, to dobrze jest ugotować w osolonej wodzie młodych szyszek sosnowych, lub czubków od gałęzi sosnowych, a gdy ostygnie, dać drobiu do picia, lub polewać tym odwarem karmę. Nie jest to lekarstwem, ale zapobiega zarażeniu.

Cynamonu i gwoździków lepiej nie dawać do salcesonu, gdyż nie każdy to lubi. A jeżeli się daje, to bardzo a bardzo mało. Jeden lub dwa gwoździki do całego salcesonu i maleńką szczyptę cynamonu.

Rozpowszechniajcie Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy ***Przodownicę*** i jednajcie jej prenumeratorki i prenumeratorów. Nie otrzymane numery proszę reklamować i upominać się o nie na pocztach. Reklamacyi się nie opłaca; szkoda wydawać pieniądze na marki. Jeżeli się reklamacyę wysyła w kopercie, to prosimy koperty nie zaklejać, bo za zamkniętą (zaklejoną) płaci się 20 hal. Prenumeratę możecie przesyłać w liście markami.

Sprostowania.

Do artykułu: **„w 42-gą rocznicę“**, umieszczonego w 2-gim numerze *Przodownicy* z r. b., wkradło się kilka błędów drukarskich, które niniejszem prostujemy, a mianowicie:

Na str. 19 w pierwszym łamie, wiersz drugi od góry:
Zamiast: Ze sztandarem.
Ma być: Ze sztandaru.
Na tejże str. 19 w łamie drugim, wiersz 27-my od góry:
Zamiast: nieprzyjacielem.
Ma być: przyjacielem.
Na str. 20 w łamie pierwszym, wiersz 17 od dołu:
Zamiast: I stało się.
Ma być: I zdało się.
Wreszcie tamże, wiersz 15 od dołu:
Zamiast: dotąd.
Ma być: odtąd

W numerze 2-gim *Przodownicy* w artykuliku o świnkach zakradła się pomyłka, którą prostujemy, a mianowicie powinno być: świnki słabsze należy trzymać przy matce do chowu, 6 do 8 tygodni; zaś do rozpłodu trzymać ich nie warto, a lepiej postarać się o rasowe, silne i zdrowe.

BAJKI KRASICKIEGO.

Orzeł i Żuraw.

Witaj nam, witaj, żórawiu z podróży,
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży.
Usiądź żurawiu na bliskich zagonach,
Powiedz coś słyszał w cudzoziemskich stronach?
Ci co daleko lecą,
Zwykle korzystają nieco,
I z twojej pewno będziemy mieć łaski,
Nowe korzyści, nowe wynalazki,
Jak żywność chować?
Gniazda budować?

Stój, przerwie żuraw, stary gaduło,
Cóż ci się we łbie usnuło?
Że się każdy trudzi lotem,
By was uczyć za powrotem.
Ja, mężniej chodzę, rezolutniej krzyczę,
To umię, tego uczyć się ci życzę,
A te wszystkie wasze baśnie,
Przestań, orzeł wrzaśnie.

Zamiast obrazka w tym numerze „Przodownicy“ dajemy Szanownym Czytelniczkom i Czytelnikom podwójny dodatek powieściowy.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 3 „Przodownicy“ z r. 1905.

WŁADYSŁAW REYMONT.

CHŁOPI.

POWIEŚĆ. — (W skróceniu.)

(Dokończenie.)

Zrozumiał nagle jasno i aż się podniósł z oślepiającej trwogi.

— Jezus! Jezus! — powtarzał gorączkowo, bezprzytomnie, dygocząc cały.

W ten sam czas wesele się ano przenosiło do Boryny.

Robili przenosiny Jagusi do męża.

Nieco przódzi przeprowadzili tęgą krowę i przewieźli skrzynkę, pierzyny i statki różne, które w wianie dostawała.

Teraz zaś, może w pacierz po zachodzie, kiej mroczało i świat się zaciągał mgłami, bo na odmianę szło, wywalili się od Dominikowej.

Na ganku przed progiem czekał już Boryna, kowalowie i Józka.

Wraz też witali się, całowali a życzyli młodym szczęścia, zdrowia i co tam Pan Bóg da, a do izby szli, że wnet zawalili ławy wszystkie i kąty.

Grajkowie, narządzając instrumenty, pobrzękiwali z cicha, aby nie mącić poczęstunkowi, z jakim wystąpił Boryna.

Chodził ano z pełną blachą od kuma do kuma, częstował, niewolił, w ramiony brał i przepijał do każdego; kowal mu pomagał w drugiej stronie, a Magda z Józką roznosiły na talerzach placek, miodem i serem nadziewany, któren umyślnie upiekła na przenosiny, bych się ojcu przypochlebić.

Jagusia w mężowej komorze wnet się przestroiła w szmaty zwyczajne, tyla, że świąteczne, i wyszła ugaszczać a przyjmować, ale matka do niczego się jej tknąć nie dała.

Muzyka rznęła od ucha, siarczyście, młódź hulała raźno, krzykała i obcasami ostro biła, a oni się tak zabawiali społecznie i wesoło, że o bożym świecie zapominali, aż któryś dojrzał w sieni Jankla: wciągnęli go wnet do izby. Żyd czapkę zdjął, kłaniał się i ze wszystkiemi przyjaźnie witał, nie bacząc, że mu przezwiska, jak kamienie, latają koło uszu.

Jankel wysunął się cicho do sieni i zniknął w podwórzu: poszedł do Kuby odbierać strzelbę.

Darmo Boryna zapraszał do jadła, nikt nawet nie słyszał, a potem Jaguś raz po raz przywtarzała, by szli.

Usadzili się po starszeństwie, i jak przystało na przenosinach, z Dominikową i jej chłopakami w pośrodku; druchny i drużbowie zasiedli razem, przy sobie, a Boryna z Jagusią ostali na izbie, by posługiwać i mieć baczenie na wszystko.

— Witek! Zawołał Roch stojący przy węgle od podwórza, w cieniu. — Wywołaj Jambrożego, powiedz, że pilna sprawa. Poczekam na ganku.

Dopiero w jakiś pacierz nadszedł Jambroży, srodze zły, że mu przerwali jadło w najlepszem miejscu, bo przy prosięcinie z grochem.

— Kościół się pali, czy co?

— Nie krzyczcie! Chodźcie do Kuby, bo zdaje mi się, że umiera.

— Niech zdycha, a nie przeszkadza ludziom jeść! Byłem na odwieczerzy u niego i mówiłem jusze, aby się do szpitala szykował: nogęby mu urznęli, i wnetby wyzdrowiał!...

— Powiedzieliście mu o tem! Teraz rozumiem: zdaje mi się, że sam sobie obciął nogę...

— Jezus, Marya! Jak to? sam sobie obciął?...

— Chodźcie prędzej, zobaczycie. Szedłem spać do obory i ledwiem wlazł na podwórze, Łapa skoczył do mnie, szczekał, skamlał, za kapotę mnie zębami darł i ciągał, nie mogłem pojąć czego chce... a on wybiegał naprzód, siadał w progu stajni i skowyczał! Podszedłem, patrzę, Kuba leży przewieszony przez próg, z głową w stajni! Myślałem zrazu, że chciał wyjść na powietrze i omdlał! Przeniosłem go na wyrko i zapaliłem latarkę, żeby wody poszukać, a on cały we krwi, blady jak ściana i z nogi krew bucha. Prędzej, żeby nie puścił ostatniej pary...

Weszli do stajni, Jambroży zabrał się ostro do trzeźwienia; Kuba leżał bezwładny, dychał coś niecoś i rzęził przez zwarte zęby, że trzeba było je nożem podważać, by mu nieco wody wlać do gardła.

Nogę miał przerąbaną w kolanie; ledwie się trzymała na skórze i obficie krwawiła.

Na progu czerwieniały plamy krwi i leżała okrwawiona siekiera, a taczalnik do naostrzania, któren zawsze stał pod okapem stajni, walał się teraz pod progiem.

— Juści, sam sobie obciął! Bał się szpitala, myślał głupi, że sobie pomoże, ale twardy

chłop, ale zawzięty! Jezus, żeby sobie samemu obciąć kulasa! Prosto nie do wiary! Krew go mocno odeszła.

Kuba otworzył naraz oczy i wodził niemi dosyć przytomnie...

— Odleciała? Dziobnąłem dwa razy, ale mnie zamroczyło... — szeptał.

— Boli cię to?

— Nic a nic. Sił się ino wyzbyłem do cna, ale zdrowszym!

Leżał spokojnie i ani krzyknął, gdy mu Jambroży nogę składał, mył i krępował w zmoczone szmaty.

Rocho na klęczkach przyświecał latarnią i modlił się tak gorąco, aż mu łzy ciekły po twarzy, a Kuba ino się uśmiechał radośnie, tkliwo jakoś i rzewnie, jak to dzieciątko w polu porzucone, które nim pozna, że bez matki, raduje się do traw, co nad nią szumią, za słońcem patrzy, do przelatujących ptaszków rączki wyciąga i po swojemu gada ze wszystkiem i cieszy się, tak ci on czuł się teraz: dobrze mu było, spokojnie i nie boleśnie, a tak na duszy lekko i wesoło, że za nic sobie miał chorobę, ino się z cicha przechwalał... jako siekierę dobrze wyostrzył... nogę ułożył na progu... i dziabnął w samo jabłko... zabolało, ale noga od jednego razu nie puściła... więc drugi raz dziabnął ze wszystkiej mocy... i oto nic go teraz nie boli, pomogło widać. . że niechby tylko miał więcej mocy, to nie gniłby dłużej na wyrku, i na wesele szedł... do tańca się brał... i podjadłby nieco, bo jeść mu się chce...

— Leż spokojnie i nic się nie ruchaj, jadła dostaniesz rychło, powiem Józi.

Roch do pogłaskał po twarzy, i wyszli z Jambrożym na podwórze.

— Do rana wykipi, uśnie cicho, jak ptaszek, bo krew go całkiem odeszła.

— Księdza mu trzeba przywieźć, póki przytomny!

— Kiej ksiądz pojechał na wieczór do Woli, do dziedziców.

— Pójdę po niego, zwlekać nie można!

Do Woli jest mila, po nocy i przez las, nie traficie. Stoją tu gotowe konie ludzi, co mają po wieczerzy odjeżdżać, bierzcie je i jedźcie.

Wyprowadzili konie na drogę, i Roch siadł.

— A nie zapominajcie o Kubie, trzeba go przypilnować? — zawołał, ruszając.

— Nie ostawię go samego, nie zapomnę.

Wnet jednak zapomniał; tyle baczył, że Józi powiedział o jadle, a sam wrócił za stół, do butelki mocno się przypiął i tak serdecznie, że rychło o bożym świecie nie wiedział.

Józka zaś, że to poczciwe było dziewczątko, co tylko mogła nazbierała na miseczkę, wódki w półkwarcie nalała sporo i zaniesła ochotnie.

— Kuba, przejedźcie zdziebko, użyjcie i wy wesela!

— Bóg ci zapłać! Kiełbasa, widzi mi się, czujna, wieje od niej.

— Dyc umyślnie przypróżałam, byście posmakowali. — Wraziła mu miskę w ręce, bo ciemno było w stajni. — Wypijcie przódzi wódkę.

Wszystko wypił do dna.

— Posiedź ździebko, tak mi się samemu ckni...

Począł glamać, pogryzać, żuć, ale nie mógł nic przełknąć.

— Weselą się? co?

— Takie wesele, tyla narodu, żem w życiu nie widziała większego.

— Borynowe przeciech, to nie dziwota! — szepnął z dumą.

— Juści, a ociec się tak weselą i cięgiem za Jagusią chodzą, cięgiem.

— Jakże... urodna, piękna na gębę, kieby jaka pani dworska!

— Wiecie, a Szymek Dominikowej to się ma do Nastki Gołębianki.

— Stara nie pozwoli, u Nastki z dziesięć gęb siedzi na trzech morgach.

— To też ich rozgania, gdzie dopadnie i srodze pilnuje.

— Wójt jest?

— Zabawia drugich i najbardziej pyskuje, a Jambroży także.

— Jeszczeby nie, kiej na takiem weselu są, u takiego gospodarza! Nie wiesz, co u Antków? — zapytał cicho.

— Jakże, skoczyłam do nich na zmroku, dzieciom poniesłam mięsa, placków, to chleba... Z chałupy me wypędził i ciepnął za mną com przyniesła... Zawziął się silnie i taki zły, taki zły... a bieda u nich w chałupie i ten płacz... Hanka ino się kłóci z siostrą, że się już pono i do kudłów brały.

Nie odrzekł na to, nos ostro wycierał, a prędzej dychał jakoś.

— Józia, — rzekł po chwili — klacz postękuje jakoś i pokłada się już od wieczora, pewnie jest na oźrebieniu... trzaby przypilnować. Picie jakie narządzić. Jak to se stęka! Biedota kochana, a ja nic nie potrafię pomódz... okrutniem słaby... bez mocy całkiem...

Zmęczył się i zamilkł, i jakby zasypiał.

Józka odeszła śpiesznie.

Nadzwyczajny dodatek do Nru 3 „Przodownicy“
(zamiast obrazka).

Złe żony.

I.

Czy zawsze one złe?

Niema bo nic łatwiejszego, jak powiedzieć, że żona zła. Byle tylko nie pozwoliła raz mężowi pójść do karczmy albo na jarmark bez potrzeby, dalejże hura na nią: — zła baba!...

Naturalnie, że większy krzyk jeszcze wtedy, kiedy żona chce, aby mąż nie trwonił grosza ciężko zapracowanego i dopomógł jako tako w domowej pracy kobiecinie.

Jakżeżbo to można żądać, ażeby mąż nie zabawił się między towarzyszami, żeby odłożył do skrzyni parę koron, „naści kobiecino, może potrzeba przyodziewy dzieciom“; jakże można żądać, aby mąż pomógł zanieść cebrzyk z jedzeniem dla „beznogi“, niech dźwiga kobieta sama, aż się w pół przegnie... albo, czy można nawet o tem myśleć, aby „gospodarz“ wodę przyniósł w konewkach? Choć to wodę trzeba dźwigać dobrze pod „garbek“, choć to studnia we wsi daleko, a kobiecina niema na to nijakiej siły, jeszczeby czego brakło, aby on wodę jej przynosił!

Tak powiadają po wsiach ludziska i tak o byle co narobią wrzawy i hałasu co nie miara, że baby złe, że żony nie dobre, że niewytrzymana godzina z temi „kobietami“.

Jeden się żali, że żona nie gospodarna, drugi, że leniwa, trzeci, że gderliwa, inny, że zalotna, tamten, że skąpa, ów znowu, że latawica, żeby wszystko na ubiory straciła, że uparta, że nie chce słuchać, aż jak się człowiek wsłucha w te wszystkie krzyki i skargi, zdaje mu się, że niema chyba ani jednej dobrej żony na świecie.

Tymczasem, gdyby znowu pójść po chatach i wysłuchać, co będą mówić żony, przekonalibyśmy się wtedy, że i mężowie nie są aniołami z nieba, że i oni mają dość swoich wad i nałogów, a ciężkie są one do zniesienia.

Tylko, że kobieciny znoszą te wady swoich mężów cicho i cierpliwie, a mężowie zaraz gwałt robią: żony są złe.

Przypatrywaliśmy się długo życiu rozmaitych ludzi. Wiemy, jak bywa po wsiach, po miastach, po chatach i kamienicach. Bywają te same rządy, nawyknienia, złe skłonności i u ludzi bogatych i u biednych, u żon i u mężów, bo ludzie wszędzie są skłonniejsi do złego niż do dobrego, ale i to rzec trzeba po sprawiedliwości, nie takie żony wszędzie złe, jak to mężowie opowiadają

Czasem biedna kobiecinka Bogu ducha winna, zapracowana, zamęczona, nie odetchnie spokojnie, ledwie że już wydołać może wszystkim pracom, a tu mąż na nią bez ustanku: a taka jesteś, a taka, a niegospodarna, a nie szybka, a nie żwawa, a skąpa, a chmurna itd.

Jak się już wtedy kobiecie miarka przebierze, jak już wreszcie odpowie raz ostrzej i pożali się na swą krzywdę, hejże dopiero głosi przed całym światem: „zła żona! zła baba!...“

Słyszeliśmy raz od jednego gospodarza ciągłe narzekania na swą żonę, tak i myśleliśmy: biedny człek, co on z nią wycierpi. Dopiero, gdy byliśmy w tej wsi parę tygodni, przekonaliśmy się, że kobiecina najpoczciwsza, najpoczciwsza w świecie. O męża dba, o dzieci, o gospodarstwo, jak mrówka od rana do nocy uwija się. A cała jej wina była w tem, że nie pozwalała mężowi próżnować, tylko go ciągle do roboty napędzała.

Niejeden raz do redakcyi napisze ten i ów skargi na żonę, a kto to odczyta uważnie, przekona się, że w piśmie tem odkrywa się złą duszę człowieka, że raczej to on zły i najgorszy, a rad jeszcze kobiecinę pohańbić najgorszą niesławą.

Kto ma trochę zdrowego rozumu, przyzna szczerze, że są wady wszędzie między ludźmi, więc i między żonami. Bywają żony uparte, gderliwe, niegospodarne, zazdrosne, to wszystko prawda, ale gdyby tak można wziąć na wagę wady niektórych żon i przyrównać z cnotami innych, obaczyliby ci mężowie, co się tak bardzo i tak ciągle skarżą, iż cnót tych znalazłoby się daleko więcej.

Ileżbo to żon jest cichych, cierpliwych, pokornych, pracowitych, oszczędnych? Ileż to kobiet tak się poświęci dla tych obowiązków domowo-rodzinnych, iż zdaje się, ani same siebie nie znają, ani nie widzą na świecie!... Tylko o tych cichych cnotach żon mężowie nie lubią głośno mówić, ale o jednej, najmniej-

wapna, ług gryzący, giną one przy temperaturze 46° C. jak również w mięsie solonem. Choroba ta pojawia się najwięcej w lecie; duszne, ciężkie powietrze przed burzą, karmienie zepsutą paszą, mokre stanowiska najwięcej sprzyjają pojawieniu się choroby. Zjawia się ona i w zimie, ale znacznie rzadziej i słabiej. Najczęściej napada ona świnki 3–12 miesięczne, starsze świnki są odporniejsze, nie tak prędko zachorują i dają się też łatwiej wyleczyć. Sysaki zaś nie zarażają się wcale mlekiem matki. Łatwiej też podlegają rasy obce niż miejscowe. Zarażenie może nastąpić wskutek zjedzenia przez świnie mięsa lub wnętrzności padłej na tej chorobę sztuki, zaś zarażenie z powietrza jest tu trudniejszym, gdyż zarazek ten jest stały i świnki w drugim przedziale mogą być zupełnie zdrowe, zaś w tym samym przedziale mogą się zarazić mymiotami lub też odchodami chorej świnki. Pomimo to, że zarazek ten jest stały i świnki za ścianką mogą być zdrowe, to jednak zawsze pewniej jest, aby je odosobnić i to ile możności zdala jedną od drugiej i każdą osobno umieścić, aby w razie niepoznania choroby nie zniszczyć sobie całego stadka. Że sztuki, które już raz tę chorobę przebyły, więcej na nią nie zapadają. Jeżeliby która świnka tylko trochę okazywała się niezdrową, to trzeba na nią baczną zwrócić uwagę. Przebieg choroby jest bardzo krótki ale ostry.

Trzeciego dnia po zarażeniu zwierzęta przestają jeść, dostają silnej gorączki, która dochodzi czasami do 42° C., przyczem czasami wymiotują i okazują istny rozstrój nerwowy, zagrzebują się w podściółkę, są senne i tak osłabione, że wstać nie mogą, a bywają nawet wypadki porażenia tylnych części ciała. Leżąc prawie nieprzytomne, zgrzytają zębami, błona śluzowa powiek silnie obrzękła i silnie zaczerwieniona. Na początku słabości są odchody stolcowe wstrzymane, następnie bywają pomieszane z krwią. W drugim dniu choroby pojawiają się już jasno czerwone plamy na piersiach i brzuchu około pępka, na szyi, uszach, pomiędzy nogami i na zewnętrznej części uda. Są to osobne, pojedyncze plamy wielkości dłoni, nie schodzą się one razem, ale każda plama jest osobna i stanowi oddzielną całość, i nie są ani opierzchłe, ani też bolesne. Plamy te są tylko wyjątkowe, tylko w niektórych miejscach bolesne, naprzykład na uszach, gdzie po jakimś czasie pojawiają się na nich pęcherzyki i zmartwiałość skóry.

Jeżeli chore zwierzęta mają oddech zbyt przyspieszony, to już niema co myśleć o ich wyleczeniu, oznajmia to zazwyczaj ich śmierć, która zwykle następuje trzeciego lub czwartego dnia choroby. Jeżeli zaś gorączka się zmniejsza i opada na 37° C. lub niżej i świnka przetrwa do piątego dnia, to jest to pomyślny obrót rzeczy, dający pewność wyzdrowienia. Nie trzeba jednak liczyć na tę pewność, ale tem pilniej chorą sztukę doglądać.

Choroba jest jak to już mówiliśmy krótko trwała i ostra, więc mało jest czasu na jej leczenie i dlatego też zaraz przy pierwszych objawach daje się na wymioty, przy których to od czasu do czasu wydala się z żołądka zarazek.

Jako środek na wymioty daje się $^1/_4$ lub też $^1/_2$ łyżeczki proszku z korzenia białej ciemierzycy, rozrobionego w wodzie. Również z dobrym skutkiem można użyć lewatywy z lysolu lub kreoliny, biorąc na pół litra wody letniej, jedną łyżeczkę od kawy kreoliny lub lysolu i to dawać trzy razy dziennie.

Ponieważ chore sztuki apetytu nie mają, więc daje się im tylko lekki, soczysty pokarm, jak kleik, mleko kwaśne lub serwatkę.

Dotąd mówiliśmy o świnkach chorych, ale trzeba też i o zdrowych co nieco pomyśleć. Otóż na wypadek jednej chorej, należy wszystkie zdrowe oddalić i jeżeli można, każdą osobno umieścić. Cały chlew doskonale wyczyścić i wszelkie naczynia, jakie tylko w chlewie się znajdują i jakie miały styczność z chorą sztuką. Zlewając karbolem lub kreoliną, nie wiemy czy rzeczywiście oczyściliśmy miejsce koło miejsca, dlatego to też najlepiej jest silnem mlekiem wapiennem pobielić miejsce koło miejsca cały chlew, tj. podłogę, ściany, powałę, wszelkie koryta i szafliki, słomę z pod chorej sztuki należy spalić.

Bardzo podobną chorobą do róży jest karbunkuł, napada on wprawdzie częściej konie, krowy i owce, zdarza się jednak czasami i u świń.

Karbunkuł, choroba ta wybucha drugiego lub trzeciego dnia po zarażeniu, zwierzę nie chce jeść, dostaje gorączki, oddycha szybko robiąc bokami, uszy i nogi ma chłodne, stoi smutne i obojętne, u większej połowy chorych sztuk można zauważyć napuchnięcia pod skórą na rozmaitych miejscach ciała, i tak na gardle, szyi, pod brzuchem lub gdziekolwiek, jeżeli plamy te są bolesne, czerwone i sinieją, to ratunku już niema. W początkach choroby trzeba sprowadzić weterynarza i jemu zostawić leczenie, ale i weterynarz nie zawsze może wyleczyć, w każdym razie uczynić to trzeba, gdyż przepisy tego wymagają. Skóry z takiego zwierzęcia zdejmować nie wolno, bo krew takiej padliny i człowieka zarazić może, gdy krew z chorego zwierzęcia dostanie się do skaleczonego miejsca, powoduje zatrucie krwi i występuje czarna krosta i śmierć jest niechybna. Padłe zwierzę trzeba ostrożnie wywlec z chlewu, nie dotykając rękami, wywieść na sankach lub wózku daleko i zakopać głęboko, przysypać grubo wapnem niegaszonem lub popiołem i na to grubo ziemią; miejsce takie należałoby płotem ogrodzić, aby się tam przynajmniej trzy lata żadne bydło nie zbliżało i trawy z tego miejsca skubnąć nie mogło, bo zarazek z ziemi się wydostający może być wraz z trawą zjadany i będzie znowu zatruwał zwierzęta.

— Cesiu! Ceś, Ceś... — zawołał przytomniejąc.

Klacz zarżała przeciągle i rzuciła się na uwięzi, aż łańcuch zabrzęczał.

— Podjem se choć raz do sytu!... Dostaniesz, piesku, swoje, dostaniesz, nie skomlij ino...

Wziął się ostro do kiełbasy, ale nie mógł, nie chciało mu się zupełnie, rosło mu w ustach.

— Mój Jezus, tyle kiełbasy, tyle mięsa... a nie mogę... całkiem nie mogę.

Darmo próbował, oblizywał, wąchał, nie mógł, ręka mu opadła bezsilnie, chował więc pod słomę, nie puszczając z garści.

— Mój Boże, tyla tego, że nigdy w życiu nie miałem, a nie mogę...

Żałość ścisnęła mu duszę, i łzy pociekły po twarzy, płakał rzewnie, aż się zanosił, jak to dzieciątko ukrzywdzone.

— Potem se zjem, odpocznę nieco i bal se sprawię — pomyślał.

Ale i potem nie mógł, zapadał w sen, nie popuszczając kiełbasy z garści, nie czując jednak, że Łapa mu ją po cichu ogryzgał...

Otrzeźwiał nagle, bo po wieczerzy muzyka gruchnęła w chałupie z taką mocą, aż ściany stajni drygały i przestraszone kury gdakały z chlewów.

Hulanka tam już szła siarczysta, śmiechy, wesołość, zabawa.

Kuba nasłuchiwał zrazu, ale rychło zapominał o wszystkiem, sen go brał i niósł w ćmę jakąć wrzawliwą, jakby pod wody szumiące... na dno rozwytych wichurą borów.

A gdy wesele ostrzej lunęło wrzawą, budził się nieco, wychylał duszę z ciemnicy, podnosił z niepamięci, wracał z dalekości przerażających i słuchał.

Ale już dusza wychodziła z niego powoli i niesła się we światy, jako ten ptaszek Jezusowy; kołowała jeszcze błędnie, oderwać się mogła jeszcze, że przywierała czasami do ziemie świętej, by odpocząć z utrudzenia, utulić swój płacz sierocy we wrzawie ludzkiej; między kochane zachodziła, wśród żywe szła, do bratów wołała żałośnie i u serc prosiła pomocy, aż mocą Jezusową skrzepiona i miłosierdziem, niesła się na jakieś pola wiośniane, na te Boże ugory ogromne, nieobjęte, wieczną światłością oprzędzone i weselem wiecznem.

I wyżej leciała, dalej, dalej, aż tam...

Gdzie ino duszy człowiekowej modlić się, a wzdychać, a płakać z radości i weselić się z Panem w wiek wieków...

Tam się ano rwała dusza umęczona i odpocznienia tęskliwa, Kubowa dusza.

. . . .

Dom zaś tańcował wciąż i weselił się całem sercem, ochotniej nawet niźli wczoraj, bo poczęstunek był sutszy i barzej niewolili gospodarze. Wodzili się też w tanach do upadłego.

I tak szło przez całą noc, do samego świtania!

A dzień podnosił się ciężko i cicho, a już przed samym wschodem słońca zamroczyło się znagła i pociemniało, zaczął padać śnieg, polatywał zrazu z rzadka i kołujący jak to igliwo w dzień wietrzny, aż się i potem rozśnieżyło na dobre.

Rychtyk i wesele się skończyło. Mieli się jeszcze wieczorem zebrać w karczmie, na poprawiny, ale teraz już poczęli rozchodzić się do domów.

Tylko drużbowie, z druchnami i muzyką na czele, zebrali się kupą przed gankiem i zaśpiewali wraz jednym głosem ostatnią piosneczkę:

Dobranoc, państwu młodym,
Dobranoc!
Dobrą nockę oddajemy,
Sami służką ostajemy,
Dobranoc!

A Kuba w ten sam czas składał duszę swoją pod święte Pana Jezusowe nóżki.

. . . .

KONIEC.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.